

Grażyna
Krynicka

DRUGIE
ŻYCIE
RZECZY



Grażyna Krynicka
„Drugie życie rzeczy”

Copyright © by **Grażyna Krynicka**, 2018
Copyright © by **Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.**, 2018

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor prowadząca: **Wioletta Tomaszewska**
Korekta: **Robert Olejnik, Marlena Rumak**
Projekt okładki: **Jakub Kleczkowski**
Skład: **Jacek Antoniewski**

ISBN: 978-83-8119-254-5

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3/325, 62-510 Konin
tel. 63 242 02 02
<http://psychoskok.pl>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Wersja Demonstracyjna

Spis treści

Rozdział I.	7
Rozdział II	13
Rozdział III	17
Rozdział IV	24
Rozdział V	30
Rozdział VI	37
Rozdział VII.	41
Rozdział VIII	45
Rozdział IX	50
Rozdział X	59
Rozdział XI	63
Rozdział XII.	68
Rozdział XIII	73
Rozdział XIV	78
Rozdział XV	81
Rozdział XVI	84
Rozdział XVII	88
Rozdział XVIII.	92
Rozdział XIX	98
Rozdział XX.	101
Rozdział XXI	106
Rozdział XXII	111
Rozdział XXIII.	117

Rozdział XXIV	122
Rozdział XXV	126
Rozdział XXVI	130
Rozdział XXVII	134
Rozdział XXVIII	137
Rozdział XXIX	142
Rozdział XXX	148
Rozdział XXXI	151
Rozdział XXXII	154
Rozdział XXXIII	157

Forsycje oszalały, było ich mnóstwo. Tworzyły wzdłuż chodników zwarty żywopłot i właśnie teraz wszystkie zakwitły. Maria Rolicz z zachwytem przyglądała się bujnie kwitnącym krzewom. Taksówkarz wiózł ją wąską uliczką, która prowadziła do jej domu.

Było bardzo wcześnie. Dzień dopiero się budził. Słońce wstało i nieśmiało wyglądało zza chmur. Zapłaciła za taksówkę i ruszyła w kierunku domu. Wtedy dopiero zorientowała się, że nie zawiadomiła męża o swoim wcześniejszym, i to o kilka dni, powrocie. Przez chwilę wahała się, czy zadzwonić teraz, ale uznała, że już nie warto. Zresztą telefon był gdzieś na dnie jej przepastnej torby i już nie chciała go szukać.

Wszystko przez te forsycje, pomyślała, i stanęła przed drzwiami klatki schodowej. Właśnie miała nacisnąć domofon, gdy drzwi otworzyły się gwałtownie i z budynku wyszedł sąsiad z psem. Powiedział jej dzień dobry i ruszył na spacer ze swoim pupilem, a Maria weszła do klatki. Winda była na parterze i jej podróż miała się ku końcowi.

Kiedy stanęła przed drzwiami ich mieszkania, uświadomiła sobie, że jest wcześnie, a mąż mógł jeszcze spać. Zwłaszcza, że niedawno zaczęła się sobota. Byli małżeństwem kilka lat, znała jego przyzwyczajenia i wiedziała, że w weekend lubi sobie pospać. Ona przeciwnie, zawsze była rannym ptaszkiem, choć teraz, gdy niedawno skończyła 33 lata, zaczęła doceniać wygodę i już nie zrywała się bladym świtem, nawet jeżeli zapowiadał się piękny dzień.

Delikatnie włożyła klucz do zamka i cichutko przekręciła. Otworzyła drzwi i oniemiała. Sypialnia była otwarta, więc pierwszym, co zobaczyła, było łóżko, w którym jej mąż uprawiał seks z jakąś kobietą. Oboje byli tak zajęci sobą, że wcale jej nie

zauważyli. Ogromną siłą woli odwróciła się i wyszła. Poczula, jak trzęsą się jej nogi i zbiera na wymioty. Wsiadła do windy i zjechała na dół. Dopiero tutaj poczuła, że nie da rady. Pochyliła się przy krzaku kwitnącej forsycji i zwymiotowała. Sprawilo jej to ulgę i teraz chciała już tylko jak najszybciej uciec z tego miejsca. Złapała walizkę i robiąc hałas na całą ulicę, ruszyła w kierunku przystanku autobusowego.

Rozdział I

Kiedy się obudziła, uderzyła ją panująca wszędzie cisza. To było tak silne doznanie, że przez dłuższą chwilę wydawało jej się, że jest nieprawdziwe. Przeciągnęła się i usiadła na łóżku. Za oknem wstawał dzień.

Teraz dopiero uświadomiła sobie, gdzie jest i dlaczego. Postanowiła jednak o tym nie myśleć, wstała i poszła do kuchni zrobić sobie śniadanie. Wstawiła wodę na kawę i poszła do łazienki. Wzięła szybki prysznic i jeszcze nie do końca sucha, wciąż wycierając się ręcznikiem, włączyła radio. Z odbiornika popłynęła muzyka i zaraz potem wiadomości. Uzmysłowała sobie, że odkąd tu przyjechała, nic szczególnego się nie wydarzyło. Woda na kawę zagotowała się i chwilę potem mieszała w małej filiżance pachnący napój. Chciała dolać trochę mleka, ale go nie było, więc wyglądając przez okno, popijała łyk za łykiem niezbyt smaczną kawę. Filiżanka, w której piła, pochodziła z serwisu, który Maria lubiła szczególnie. Była zgrabna, z kobaltowym i złotym zdobieniem, i chyba rzeczywiście, jak twierdziła matka Marka, od której ją otrzymała, potrafiła wprowadzić w życie osoby pijącej spokój. I choć Maria niezbyt była przekonana do takich teorii, dobrze było jej wierzyć, że może coś jest na rzeczy. To nie jest dobra kawa, myślała, muszę sobie kupić jakiś ekspres albo kawiarkę. Tak, kawiarka wystarczy.

Ale nawet ta niezbyt smaczna kawa zrobiła swoje. Mieszkanie, w którym się znajdowała, dawało jej, o dziwo, z każdym wypitym łykiem poczucie bezpieczeństwa, azylu, bycia poza tym wszystkim, czego doświadczyła. Już nie myślała, że zdarzyło się coś strasznego, ale że po prostu coś się wydarzyło. Coś, jakieś coś,

które przydarza się wciąż i pewnie każdemu. Teraz to było nieważne. Doświadcziała, pomimo wszystko radości istnienia, czuła, że są sprawy, które mają dużo większe znaczenie, niż to, co się jej niedawno przytrafiło. Żyła, i co więcej, chciała żyć. Popatrzyła na kobaltowo-złotą filiżankę, ozdobioną delikatnymi kwiatami i delectowała się chwilą.

Tymczasem za oknem zrobiło się głośno, to przyjechał samochód dostawczy do znajdującego się niedaleko sklepu. Pomyślała o świeżych bułeczkach i zarzuciwszy na piżamę długi płaszcz, zbiegła po zakupy. Kupiła litr trzyprocentowego mleka, masło ze śmietanki pasteryzowanej, razowy chleb, trochę koziego sera, dwie grahamki i pomidory. W domu miała miód i własnoręcznie usmażone ubiegłej jesieni powidła. Przydałyby się jeszcze jajka, ale już nie chciało jej się wracać. Jechała windą i czuła się bardzo głodna. I tak po śniadaniu zamierzała wyruszyć na większe zakupy, i po kwiaty oczywiście.

Na zegarze, wiszącym w kuchni, zbliżała się siódma trzydziści dwie. Było wcześniej. Rozłożyła wiktuały na kuchennym stole i oddała się konsumpcji, układając jednocześnie plan dnia. Nie miała nic pilnego, jednak musiała zaopatrzyć się w to, co najniezbędniejsze i to, bez czego nie wyobrażała sobie mieszkania gdziekolwiek.

– Muszą być kwiaty – powiedziała do siebie, ale natychmiast o tym zapomniała. Potrzebowała trochę kosmetyków, papieru toaletowego, cebuli, jabłek, cokolwiek na obiad, nie zamierzała wciąż biegać po zakupy. Czuła potrzebę odosobnienia, nawet nie po to, aby wszystko przemyśleć, ale dlatego, że tak było lepiej, pragnęła poczuć się gdzieś u siebie, bez lęku spotkania kogoś znajomego, ale też przyjmowania ciekawskich spojrzeń, bo wciąż miała rozmazany tusz, rozczochrane włosy i ogólnie wyglądała dość dziwnie.

Tak, potrzebowała gdzieś się schronić. To małe mieszkanie wydawało się idealne, bywała tu rzadko, mało kto ją znał, zresztą

lokatorzy to były przeważnie starsze osoby, przy których czuła się jakoś pewniej. Wsiadła do windy, która nie wiadomo jakim trafem stała przeważnie na jej piętrze. Obejrzała się w lustrze, przeczesала ręką włosy, a chusteczką higieniczną wytarła rozmazany tusz. Zrobiło się nieco lepiej, zresztą winda była już na parterze i dalsza toaleta stała się niemożliwa. Wyszła z budynku i udała się w stronę mieszczącego się nieopodal bazaru. Mała uliczka, którą szła, miała w sobie tyle uroku, że przez moment poczuła coś na kształt radości. Niewysokie budynki, stojące równym rzędem po jej obu stronach, okalała zieleń drzew, krzaków, ale też sadzonych przez mieszkańców sezonowych kwiatów. Wystrzelały teraz z ziemi, stojące na baczność kolorowe tulipany, małe, wesole pierwiosniki i kwitły forsycje. Zza chmur wyrzało wiosenne słońce i Maria pomyślała, że wszelkie smutne, a nawet tragiczne wydarzenia chyba lepiej znosi się wiosną. Westchnęła ciężko i znowu stanął jej przed oczami TEN OBRAZ.

– Nie, nie, nie chcę! – prawie krzyknęła. – Muszę wziąć się w garść, więc, co ja takiego mam kupić? – zapytała samą siebie, aby odegnąć złe myśli. Zacznę od czegoś konkretnego na obiad, potem jakieś warzywa, owoce, no i kwiaty, dużo kwiatów, tworzyła w myślach strategię kupowania.

Bazarek tętnił życiem. Oprócz regularnych straganów, przyjeżdżały tu kupcowe z okolicznych miejscowości, przywożąc jajka, kury, króliki, a także mnóstwo kwiatów. Niektóre handlowały domowymi wypiekami, a także robionymi przez siebie pierogami z serem, mięsem, gryczaną kaszą i czym tam jeszcze się zamarzy. Sprzedawały też gęstą, pyszną śmietanę i masło.

Na rynek wzięła wiklinowy koszyk i wkładała teraz do niego glonek białego sera, pęczek szczypiorku, rzodkiewki, natkę, słoik wiejskiej śmietany, a także świeżo ukatrupionego królika. Kupiła też różne zioła, szalwię, estragon, lubczyk i dużo marchwi. Lubiała gotować, to ją zawsze relaksowało, ale też dawało radość i satysfakcję.

Teraz też zapaliły się jej oczy i już rozmyślała nad potrawką z królika. Przez chwilę przemknęło jej przez głowę, że on tak ją lubi. Gorzka satysfakcja, że teraz zje ją sama, wywołała nawet uśmiech na twarzy Marii. Pomyślała też o tym, jak mądre jest życie, gdy zdarzenia codzienne, konieczne, przysypują niepamięcią to, co boli. I tego właśnie chciała, zwykłej codzienności, tej może daremnej, bo wciąż powtarzalnej krzątaniny, niezbędnej jednak, aby egzystować.

Kwiaty nęciły kolorami, zapachem. Kupiła trzy pęki różnokolorowych tulipanów, były nieco krótsze, ale miała nieduże wazony i pasowały znakomicie. Jeszcze jakieś drobiazgi i z ulgą opuściła zatłoczony o tej porze dnia bazar. Wracała szeroką aleją, zadzierając wysoko głowę, aby napatrzeć się strzelistym topolom. Niedaleko znajdował się skwer, na którym zawsze siadywali emeryci, matki z maluchami i spacerowali psiarze. Był uroczy i dawał wytchnienie. Pełen wiktuałów koszyk ciążył jej i z ulgą przysiadła na wolnej ławce. Tuż obok pyszniła się kwitnąca forsycja. Maria postawiła koszyk i przyjrzała się jego zawartości. Miło było cieszyć oczy kolorami wiosennych zakupów. Tak, przemknęło jej przez głowę, będzie dobrze, musi być.

Zaraz jednak dopadł ją po raz kolejny TEN OBRAZ. Mocny skurcz chwycił ją za gardło i zachciało jej się płakać. Pochyliła nisko głowę, a łzy leciały na koszyk z zakupami. Nie mogła się powstrzymać i płakała bezgłośnie. Pogrzebała w torebce, szukając chusteczek i gdy je znalazła, udało jej się uspokoić. Rozejrzała się dookoła. Nikt się jej nie przyglądał, sąsiednie ławki były puste i upewniła się, że ten mały kryzys, przeminął przez nikogo niezauważony. Wstała z ławki i ruszyła w stronę domu. Tak pomyślała. Domu? Tak, to teraz jest mój dom. Teraz? A może już zawsze?

Otwierając drzwi do mieszkania stwierdziła ze zdumieniem, że wcale ich nie zamknęła. W przedpokoju wciąż stała jej podróżna walizka, prawie się o nią przewróciła. Starannie przekreśliła zasuwkę i zajęła się wypakowywaniem zawartości koszyka.

Najpierw należało zająć się kwiatami. Z radością mościła je w wazonach, przycinając najpierw końce łodyg. Udekorowany stół w kuchni cieszył oczy, ale Maria miała jeszcze dwa bukiety, które powędrowały do pokoju. Włączyła lodówkę i umieściła w niej zakupy. Mięso królika umyła, pokroiła na części, trochę posoliła i obłożyła ziołami. Dopiero teraz włożyła do lodówki, a sobie zrobiła kolejną kawę. I uzmysłowiła sobie, że nie kupiła kawiarki.

Trudno, pomyślała. Nie chciało jej się już wychodzić. Przynajmniej nie teraz. Czula przyjemne znużenie, a pita drobnymi łykami kawa przywracała jej siły. Krzepiła wzrok pękiem kolorowych tulipanów, przez okno wpadało do mieszkania złote słońce. Było dobrze, dobrze, o wiele lepiej niż mogła się spodziewać. Włączyła muzykę i pogрузzyła się w niemyślenie.

Mijały minuty, kwadransy, czas płynął. Maria siedziała przy kuchennym stole i wpatrywała się w drzewo za oknem. Gruchały tam siedzące na gałęzi synogarlice, kręciły się koło siebie w miłosnym tańcu, tym odwiecznym rytuale wciąż odradzającego się życia. Mój taniec już przeminął, pomyślała. Wszystko się skończyło, wszystko, czym dotąd żyłam. Tak znana od lat codzienność rozsypała się jak domek z kart w drobny pył. Nic już podobnego jej się nie zdarzy, bo nie wierzyła, żeby kiedykolwiek mogła jeszcze komuś zaufać. Ale nie chciała o tym myśleć, odpoczywała. Tymczasem synogarlice chyba doszły do porozumienia, bo nagle razem odleciały. Radio coś znowu sprzedawało, a na zegarze wybiła dwunasta. Postanowiła zająć się królikiem. Rozgrzała rondel, dała sporo masła i obsmażała kawałki mięsa. Skwierczały radośnie, a w mieszkaniu rozszedł się aromat ziół. Maria zajęła się marchewką i gdy wszystkie kawałki królika pięknie się zrumieniły, podlała całość wodą i dodała obraną i pokrojoną marchew. Przykryła rondel i zmniejszyła płomień.

Popatrzyła na tulipanowy bukiet, na wpadające do mieszkania słoneczne promienie, na resztki kawy w filiżance i przez głowę jej

przemknęło, że coś jest nie tak. Chyba coś było nie tak. Cierpiała, jednak gdzieś w głębi jej serca tliła się isierka dziwnej radości. Radości? Tak, właśnie radości. Było to doprawdy zaskakujące odkrycie. Jak to jest, rozważała, czyż strata nie rodzi wyłącznie bólu? Strata? Ze zdziwieniem konstatowała, że sytuacja, w jakiej się znalazła, wyzwala w niej nieoczekiwane myśli, jakieś nowe perspektywy, dziwną ulgę. To właśnie było nie tak.

Jednak musiała to wszystko poukładać, zadecydować, co dalej, jak zareagować? Czy reagować? A może wrócić jakby nigdy nic i udawać, że nic nie widziała, nic nie wie? Odrzuciła natychmiast tę możliwość. Wiedziała, że nie potrafi. Powrót oznaczał piekielną awanturę i nie wiadomo, co jeszcze. Był niemożliwy. Niemożliwe też wydawały jej się jakiegokolwiek rozmowy. Bo i o czym? Nie widziała żadnej potrzeby dowiadывania się, kim jest osoba, z którą w sytuacji jednoznacznej zobaczyła swego męża, nie interesowało jej dociekanie, jakie są jego dalsze zamiary ani dlaczego stało się to, co się stało. Liczył się tylko fakt, który zaistniał i nic już nie mogło go wymazać.

Królik cichutko pyrkotał i Maria zastanawiała się, z czym go skonsumuje. Na razie nie miała na nic apetytu. No, może na lampkę wina albo ciemne, mocne piwo. Zapomnieć, upić się, potem mieć kaca i nie pamiętać o niczym, pomysł takiego znieczulenia wydał jej się tak bardzo atrakcyjny, że czym prędzej pognęła do sklepu. Wróciła z baterią butelek, ale było to wyłącznie mocne, ciemne piwo. Jedyne jakie pijała i które niewątpliwie lubiła. Kiedyś pijała także wino, ale jakoś od pewnego czasu przestało jej smakować.

No, pomyślała, jak się upić, to tym, co dobre. Otworzyła butelkę i nalęła sobie napoju do wysokiej szklanki. Najpierw delectowała się pianą, a potem wybornym napitkiem. Wyłączyła królika i zajęła się neutralizowaniem swoich cierpień. Zwłaszcza dojmującego uczucia obrzydzenia, jakie wciąż budził w niej powracający z pamięci widok Marka.

Rozdział II

Kolejny dzień rozpoczął się dla Marii potężnym bólem głowy. Zbudziła się oczywiście na siusiu, ale zaraz poczuła, jakie to trudne dostać się do łazienki. Potem wszystko potoczyło się znanym wszystkim nadużywających trunków trybem. Musiała przetrwać ten dzień, ale choć był trudny, nie żałowała niczego. Wymioty i ból głowy zajęły jej tyle uwagi, że o tym, co tak niedawno dane było jej zobaczyć, prawie nie myślała. I o to jej chodziło.

Nie miała ochoty na cokolwiek i z takim pietyzmem przygotowany królik musiał wylądować w lodówce. Dzień był na straty.

Pozostała jednak kwestia jej powrotu z delegacji. Wszystko to stało się, bo wróciła trochę szybciej i nie zadzwoniła do Marka, sama nie wiedziała dlaczego nie uprzedziła go, że wraca. Otworzyła drzwi cicho, cichutko, chyba chciała mu zrobić niespodziankę. Tymczasem to on ją zaskoczył. Uchyliła drzwi i już nie chciała wchodzić do mieszkania. To, co zobaczyła, poraziło ją. Bezwiednie zamknęła drzwi i uciekła. Wreszcie wsiadła do autobusu i przyjechała do swojej kawalerki. Działała instynktownie, nieomal automatycznie, dopiero potem zastanowiła się, czy on ją zauważył. Nie wiedziała tego. Raczej nie, chyba nie. Oby nie. Wycofała się cicho, bardzo cicho, a oni byli tak bardzo zajęci sobą.

Jej małe mieszkanie stało puste od lat, czasami z niego korzystała, ale rzadko. Miało teraz jeszcze jedną zaletę – Marek o nim nie wiedział. Zastanowiło ją to odkrycie. Właściwie dlaczego mu nie powiedziała, że ma swoje lokum? Nie wiedziała, ale przemknęło jej przez głowę, że ich związek był dziwny. Zaciekało ją, czego on nie mówił jej o sobie. Może trochę tego było? Z drugiej strony, nie uważała za konieczne, aby opowiadali

sobie swoje życie. Maria była nie tyle dyskretna, co powściągliwa, introwertyczna i stonowana. Marek zresztą też. Może więc było ok? – rozważała.

W każdym razie w najbliższym czasie powinna jakoś zareagować, odezwać się, może wrócić. Albo dać znać, że nie wraca, a może też nie robić nic?

To ostatnie rozwiązanie groziło możliwością jakichś oficjalnych poszukiwań, czego naturalnie nie chciała. Co prawda nie podejrzewała męża o to, że będzie zawiadamiał policję, bo żona spóźnia się z powrotem z zagranicznego, służbowego wyjazdu, ale kto wie?

No i to był problem, bo czegokolwiek by nie zrobiła, chyba musiałaby przyznać się, że już wie.

To jej zupełnie nie odpowiadało. Nie chciała tego. Nie życzyła sobie czegokolwiek o tej sprawie usłyszeć, ani cokolwiek o tym mówić. To właśnie była jej obrona. Wymazać, wygumkować, wyprzeć.

No tak, ale nie chciała też już tego związku. Nie chciała oglądać męża, bo wiedziała, że nie da rady. Musiała zniknąć. Zacząć od nowa jakieś inne życie, ale jej, jej prawdziwe, a nie to oszukane, zranione, zbrukane, z nim. Ale myśl o tym, że coś skończyło się ostatecznie, wywoływała ból, żal, nawet rozpacz. Koniec, koniec, koniec, tak myślała o ich wspólnym życiu.

Więc ten ruch należał do niej. Powinna dać mu znać, że przez jakiś czas nie wróci. Aby zyskać na czasie, no i dlatego, że nie wiedziała, co dalej. Zupełnie nie wiedziała, co dalej. Teraz jednak nie musiała się tym zajmować. I było to dobre.

Raptem zadzwoniła jej komórka, sięgnęła po nią odruchowo i spojrzała na ekran. Dzwonił Marek. Odrzuciła aparat jakby ją oparzył. Upadł na dywan i jeszcze długo dzwonił, a ona wybuchła płaczem. Niepohamowanym, gwałtownym, bolesnym. Szlochała z poczuciem krzywdy, nieodwracalnej straty, ale też ogromnego żalu. Bolało, bardzo bolało.